

Krzyż

Drzwi zgrzytnęły i do celi wszedł strażnik. Był to jegomość wysoki i chudy; cerę miał ziemistą i oczy wiecznie podkrążone, gdyż cierpiał na wątrobę — wiedzieli o tym wszyscy ci, którzy siedzieli tu dłużej; on sam często uskarżał się w głos. Strażnik chrząknął głośno. Człowiek siedzący na pryczy spojrzał na niego z wyczekiwaniem.

— Rodzice przyjechali — powiedział strażnik. Głos jego brzmiał nosowo. — Trzeba się iść pożegnać.

Siedzący na pryczy milczał. Oglądał swoje ręce; dłonie miał wielkie, grube, o spękanych palcach. Ręce takie na pierwszy rzut oka wydają się niezgrabne i do niczego właściwie nieprzydatne; trzeba je dopiero zobaczyć przy pracy, aby przekonać się, ile rzeczy potrafią dokonać.

— Tak — powtórzył strażnik i przestąpił z nogi na nogę. — Trzeba się iść pożegnać. Oni czekają już od rana, przyjechali pierwszym pociągiem.

Siedzący wstał i wyprostował się. Był wysoki i krępy, twarz miał okrągłą; ostrzyżone przy skórze ciemne włosy czyniły ją jeszcze bardziej podobną do kuli.

— Zimno dzisiaj? — zapytał. Począł rozcierać dłonie.

— Nie będziemy przechodzić przez podwórko — powiedział strażnik. Wykonał uspokajający ruch ręką. — Po prostu zejdziemy na dół. Oni tam czekają.

Wyszli na korytarz. Strażnik zamknął drzwi. Poczęli iść korytarzem; więzień szedł przodem i swoje ogromne dłonie założył do tyłu. Naprzeciw nim szli dwaj więźniowie trzymając w rękach kubły. Jeden z nich machnął ręką do prowadzonego i zmrużywszy oko, rzekł:

— Jak się masz, gospodarzu.

— K. S. — powiedział strażnik. — Nie rozmawiać.

Niosący kubeł gwizdnął. Poszli dalej. Człowiek o okrągłej głowie zapytał:

— Nie wyjdę już na podwórko, co?

— Chyba nie — odparł strażnik. Miał męczeński wyraz twarzy; już od rana czuł, że czeka go wściekły atak wątroby. Skręcili w następny korytarz i szli bardzo wolno, gdyż więzień ostatnio mało chodził i bolały go nogi obute w ciężkie drewniaki. Syczał więc i potykał się. W pewnym momencie powiedział:

— Pieką mnie nogi straszne.

— Och — rzekł strażnik. Wzruszył ramionami. — To już niedaleko.

Więzień mruknął; starał się stąpać bokiem. Patrzył z uporem na ściany i po chwili rzekł:

— Żarówka się przepaliła.

— Gdzie? — zapytał strażnik. Przystanęli.

— Tam — rzekł więzień i uniósł do góry swoją ogromną dłoń.

Strażnik spojrział. Istotnie — jedna z żarówek rozświetlających korytarz nie świeciła. Strażnik pokiwał głową.

— No i powiedz pan sam — rzekł. — Czy to są żarówki? Mój zięć kupił w zeszłym tygodniu trzy, to dwie się od razu przepaliły. Poszedł do sklepu i chciał wymienić, a tam mu mówią: "Co pan, śmieszny? Czy to nasza wina? Takie dają, to takie sprzedajemy..." Z żarówkami teraz bieda.

— Ile kosztuje żarówka?

— Nawet nie wiem — powiedział z zakłopotaniem strażnik. I nagle zapytał podejrzliwie: — A dlaczego?

— Tak sobie.

Strażnik popatrzył na niego uważnie i rzekł z gniewem.

— Idziemy, idziemy. Co pan — żarty gra?

— Szli dalej wzdłuż zamkniętych drzwi. Przy samej klatce schodowej dyżurni więźniowie myli korytarz. Szorowali z hałasem szczotkami osadzonymi na krótkich trzonkach; pachniało szarym mydłem i gorącą wodą. Kiedy przechodzili, jeden z nich podniósł spoconą twarz i szepnął:

— Koleś, rzuć fajkę, na wypisze ci oddam.

— K. S. — powiedział strażnik. — Nie rozmawiać.

— Nikt przecież nic nie mówi — rzekł myjący podłogę. — Czy ja co mówię, do cholery? Przecież nie mówię... — rzucił z hałasem szczotkę i odstawił wiadra: strażnik z okrągłogłowym przeszedł. Więzień znów stąpnął nieostroźnie i syknął.

— Już, już — rzekł uspokajająco strażnik. — To naprawdę już blisko.

Weszli do kancelarii, a potem przeszli do izby, gdzie czekali rodzice więźnia. Na widok wchodzącego podnieśli się z ławki.

— Można się przywitać — rzekł strażnik i na jego chudej twarzy ukazało się coś, co mogło być uważane za uśmiech, lecz tylko przez tych, którzy znali jego chorobę. — Można siedzieć. — Poprawił pas z ciężkim pistoletem i usiadł na krześle pod oknem. Więzień stał pośrodku izby i mrugał oczami; było tu o wiele jaśniej niż w celi, gdzie przebywał

dotychczas. Następnie podszedł do rodziców; najpierw pocałował w rękę ojca i następnie matkę.

— To dzisiaj rano przyjechaliście? — zapytał?

— Ano, tak — rzekł ojciec. Był potężny i wysoki, kark wylewał mu się z przyciasnego kołnierzyka; głos miał donośny, nawet teraz — kiedy nie wiadomo czemu starał się mówić szeptem. Syn nie był do niego podobny; ani z wyglądu, ani z zachowania. — Jechaliśmy całą noc do ciebie — powiedział surowo ojciec.

— Z przesiadką w Jodłowie?

— Teraz — powiedziała matka — trzeba się przesiadać w Rostaszewie.

— Uhm — mruknął więzień. Starał się usadowić, aby nogi jego odpoczęły nieco.

Oparł się palcami o ścianę i nogi wysunął przed siebie. I nagle serce jego poczęło bić mocno: zląkł się, że ojciec — człowiek bardzo surowy — każe mu wstać i rozmawiać na stojąco, gdyż nie lubił, aby dzieci przemawiały do niego bez szacunku. Więzień przypomniał sobie o tym i zagadał szybko: — A jak tam u Sidorowicza?

— U Sidorowicza? — powtórzył z namysłem ojciec. Milczał przez sekundę szukając odpowiedniego słowa, a potem rzekł: — Tak jak to zwykle u niego. Tyle że koń padł.

— Padł koń — ucieszył się więzień. Marzył o tym, aby móc już powrócić do celi i zdjąć buty. — Jak to mogło być?

— Padł — i koniec — powiedział ojciec. — Wołali weterynarza, ale było już za późno — poskrobał się po głowie, znów milczał przez sekundę. Potem rzekł tonem upomnienia: — Z koniem trzeba delikatnie.

— Trzeba już kończyć — powiedział strażnik odwracając się ku nim. — Jeszcze zostało pięć minut.

— To koń — powiedział szybko więzień i jeszcze nieco dalej wysunął nogi. — Tak, tak... Koń, koń... Pewnie, że z koniem tylko delikatnie... Tak, tak... No wiadomo, co zrobisz, jak padnie?... Trzeba ostrożnie i koniec... Tak, tak... — syknął: przyszło mu na myśl, że teraz — przy pożegnaniu — na pewno trzeba będzie wstać. Syknął i szybko zapytał: — A u nas jak tam?

— Ano, chwalić Boga — rzekł ojciec. — Jak dobrze pójdzie, to kupimy krowę na wiosnę.

— Koniec — powiedział strażnik. Wstał i podciągnął pas; olbrzymia kabura pistoletu śmiesznie wyglądała przy jego chudym ciele.

— No tak — rzekł ojciec. — Nie pora teraz rozmawiać. Teraz musisz z Bogiem, synu, porozmawiać. Ty już jego jesteś. Tak. No, to módl się.

Uniół dłoń do góry: strażnik odwrócił się. — Żegnam cię krzyżem Pańskim — powiedział ojciec głośno. — Uklęknij.

Więzień milczał.

— Nie — rzekł po chwili; powiedział, że kosztowałoby go to wiele bólu i na samą myśl o tym świeczki stanęły mu w oczach.

— Klęknij, synu — powiedział ojciec uroczystym głosem. — Przed krzyżem należy się klęknąć.

Więzień pokiwał głową.

— Nie — rzekł. Pochwycił rękę ojca i ucałował ją. Potem pocałował matkę i wyszedł razem ze strażnikiem. Starzy również wyszli; poszli przez dziedziniec i znaleźli się na ulicy. Poczuli iść w kierunku dworca, skąd za dwie godziny odchodził pociąg. Szli wiejskim zwyczajem: ojciec przodem, matka dwa kroki za nim, w tyle.

— Odmienili go — powiedziała matka. — Nie chciał uklęknąć. — Chlipnęła; jej starcza twarz skurczyła się żałośnie. — Może nie wierzy już w Boga? — rzekła.

— Pierwszy raz — rzekł ojciec takim tonem, jakby nie dowierzał samemu sobie. — Pierwszy raz, żeby zrobił nie po mojej woli. Ale dziecko z niego jest dobre.

Przy którymś ze skwerów usiedli na chwilę. Dzień był ciepły, śnieg topniał. W kolorze nieba, w nieznacznym spulchnieniu gałązek, w połysku sierści przejeżdżających koni, w wilgotnym blasku szyn czuło się już nadchodzącą wiosnę. Przechodnie rozpinali palta, dzieci wychodzące ze szkół biegły gromadkami, brudny śnieg z szumem spływał do ścieków.

— Tak — rzekł ojciec. — Na jesieni Mietek wróci z wojska. Będzie miał garnitur po Janku. Do jesieni trzeba się jeszcze pomęczyć...

— Janek był tęższy — powiedziała matka.

— Tęższy, tęższy... Mietek w wojsku utyje, tam dają im jeść jak się należy... — milczał przez chwilę patrząc na swoje lśniące buty. — No co — rzekł po jakimś czasie. — Dziecko było z niego dobre. Nic nie powiedział, że ja mu kazałem. Nic — aż do końca.

— Tyś mu kazał? — spytała matka.

— Ano — rzekł ojciec — tak wychodzi, że ja... — kark poczerwieniał mu nagle. — Ja bachora w domu nie potrzebuję. — Potrząsnął pięściami. — Tymi rękami dorobiłem się wszystkiego — ziemi, domu, żony. Ja na stare lata wstydem świecić nie będę. Zgrzeszyli — ich sprawa. Miał się ożenić z dziadówką? Co ona miała? Co warty człowiek bez ziemi? Nic, tyle co śmierć, może nawet tego nie. Chciałem dla niego dobrze. Ja mu powiedziałem, żeby ją położył koło konia; niech będzie, że koń ją kopnął. A on się po tym wszystkim przestraszył; uciekł i zostawił siekiere. Ja miałem dla niego żonę w Zawadowie. Miałby i dom, i ziemi

kawał. Ale on wołał tę. Musiał zrobić po mojej woli. Dobry był z niego dzieciak. I nic nie powiedział. Synowskie posłuszeństwo miał.

— Żeby tylko nie cierpiał za bardzo — rzekła matka i chlipnęła.

— Gdzie tam — rzekł ojciec. Chrząknął niecierpliwie. — Śmierć to śmierć i koniec. Czy to mało ludzi umiera? Czy on nie widział śmierci? przed demokracją jednej zimy to na Głuchowicach pół wsi wymarzło. A w Zawadowie? A w Janowicach? Z głodu, z zimna zawsze przecie gorzej umierać było. Dobry był z niego dzieciak i śmierć będzie miał lekką. To dopiero za trzy dni. Wrócimy do domu, to pójdziemy się pomodlić, żeby mu ta śmierć letko poszła.

— Dobry był — powiedziała matka. — Pewno, że dobry — na jej okrągłej, pomarszczonej twarzy malowała się jednak pełna wątpliwości rozterka. — Dobry, dobry — powtórzyła gderliwie. — Ale dlaczego nie chciał uklęknąć przed krzyżem?

1956